

AGNIESZKA KAWULA

ROZMOWY Z HINDUSKIM MISTRZEM

ŹRÓDŁO TWOJEJ METAMORFOZY



STUDIO
ASTROPSYCHOLOGII
jeszcze lepsze jutro

ROZMOWY
Z HINDUSKIM
MISTRZEM



AGNIESZKA KAWULA

ROZMOWY Z HINDUSKIM MISTRZEM

ŹRÓDŁO TWOJEJ METAMORFOZY



STUDIO
ASTROPSYCHOLOGII
jeszcze lepsze jutro

Redakcja: Mariusz Warda
Skład komputerowy: Piotr Pisiak
Projekt okładki: Piotr Pisiak
Zdjęcie na okładce: © lily – Fotolia.com

Wydanie I
Białystok 2014
ISBN 978-83-7377-628-9

© Copyright for this edition by Studio Astropsychologii, Białystok 2014.
All rights reserved, including the right of reproduction in whole or in part in any form.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez pisemnej zgody posiadaczy praw autorskich.



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku.
www.facebook.com/Wydawnictwo.Studio.Astropsychologii



STUDIO
ASTROPSYCHOLOGII
jeszcze lepsze jutro

15-762 Białystok
ul. Antoniuk Fabr. 55/24
85 662 92 67 – redakcja
85 654 78 06 – sekretariat
85 653 13 03 – dział handlowy – hurt
85 654 78 35 – www.talizman.pl – detal
sklep firmowy: Białystok, ul. Antoniuk Fabr. 55/20

Więcej informacji znajdziesz na portalu www.psychotronika.pl

PRINTED IN POLAND

*Ode mnie dla siebie.
Ode mnie dla Ciebie.*



Spis treści

W poszukiwaniu początku	9
Indie po raz drugi	19
No i się zaczęło...	21
Bardzo lubię poniedziałki	25
Poniedziałkowa opowieść	33
Jedzenie jest Bogiem	41
Kamienie na Drodze	47
Skazaniec w świątyni	55
Z mantrą na ustach	61
Kilka słów o hinduskiej świątyni	69
Rzecz o jodze i kilku innych ważnych sprawach . . .	73
List do C.	81
Dźwięk dzwoneczków	89
Jedna szklanka piwa	93
Kochając Ganeśę	99
Miesiąc bez Ganeśi miesiącem straconym	111

W poszukiwaniu odpowiedniego lekarstwa	121
Uniwersalne prawo przyciągania	129
Śpiewając imię Boga	145
Cała prawda o...	157
O wyższości guru nad Bogiem	163
Modlitwy żony	177
Straty i odzyski	185
Śiwaratri	193
Bóg jest muzyką	201
9 dni dla Najwyższej Bogini	211
Być jak szkatułka	227
Tantra – mantra – jantra	235
Wrywanie chwastów umysłu	241
Ciąg dalszy wielkich porządków	249
Mistrz	263
Los zapisany w gwiazdach	271
Ach, ten umysł...	287
Jeszcze w Indiach...	297
Epilog	305

W poszukiwaniu początku

W którym miejscu zaczyna się moja podróż do Boga, tak naprawdę nie wiem. Prawdopodobnie moi rodzice byli tą pierwszą rakieta do Niego. Stworzyli mnie. Tam, gdzie zakończyła się ich rola, rozpoczyna się samodzielna wędrówka. Były, są i zapewne jeszcze będą momenty, kiedy stwierdzę, że mam dość, że za trudno, że znowu nic nie rozumiem i nie czuję, by moja rakietka funkcjonowała, jak powinna. Wierzę, że wszystko jest po coś, ma swoje przeznaczenie, jakąś rolę do odegrania, sens większy, niż się wydaje. Dopóki mam tę ufność, oddycham, wstaję codziennie rano z łóżka i rozpoczynam dzień. Głównie w Polsce, w chwili, gdy piszę – w Indiach. Skąd mam tę siłę? Nie wiem. Ta niewiedza męczyła mnie już dość mocno. Na tyle stała się niewygodna, że wbrew logice 9 stycznia 2012 roku znalazłam się w samolocie, z którego wysiadłam na prawie dwa miesiące w Indiach.

Wylądowałam w Bangalurze. Odetchnęłam gorącym powietrzem i wyczułam w nim COŚ. Jeszcze nie wiedziałam co, ale było mi dobrze. To wystarczyło, żebym wsiadła do taksówki, która zawiozła mnie do Puttaparthi, do aśramu Sai Baby. I tu Bóg zadrwił z mojej logiki i planu. W aśramie miałam zamieszkać tylko pięć dni, zostałam miesiąc. Ale





od początku... – choć sama nie wiem, gdzie ta historia się zaczyna. Myślę, że gwiazdy wiedzą to dużo lepiej ode mnie. Posłusznie wykonuję ich polecenia.

To, że świat jest mały, wiemy wszyscy. On jest naprawdę mały! I przypadki to wielkie nieporozumienie! Wszystko jest tak skonstruowane, misternie dobrane i utkane, że nie ma tu miejsca na przypadki. Jedna z nici cudnego wzoru mojego życia doprowadziła do aśramu Baby moją znajomą, Monikę. To ona sprawiła, że znalazłam się na krześle u bramina, astrologa, magicznego i niezwykle człowieka, Bharatha Thambiego.

Z Moniką spotkałyśmy się podczas posiłku w stołówce i po krótkiej rozmowie już wiedziałam, że to COŚ, które wy czułam na początku, poruszyło się we mnie zdecydowanie i skierowało moje kroki do Bharatha. Monika zna go od paru lat. Jego zalecenia się sprawdziły, praktyki pomogły, gwiazdy przemówiły i wyjaśniły wiele życiowych dylematów, łaskawie podszeptały, co robić dalej... I tak to Agnieszka, zawsze sceptyczna i logiczna na początku, ale zachęcona przez Monikę, postanowiła umówić się na konsultację astrologiczną.

No i się zaczęło! Z drżeniem serca wchodziłam do ciemnego budynku, po schodach, o których tylko dzięki moim stopom wiedziałam, że istnieją, do pomieszczenia, którego nie da się opisać słowami, jedynie obrazem. Przywitał mnie mały pokój, z pajęczynami tu i ówdzie, obrazkami Bogów Ganeśi i Śiwy, piramidkami, notatkami, zaschniętymi pszczołami na oknie i brzęczącym wiatrakiem, który rozkosznie chłodził zmęczone upałem ciało...

I był przede wszystkim ON, siedzący za niewielkim biurkiem. Radosny, promieniejący, energetyczny, tajemniczy. Moje COŚ bardzo się ucieszyło na jego widok i przez prawie cztery godziny siedziało wbite w siedzenie, bo każde wypowiedziane przez Bharatha zdanie miało potwierdzenie w moim ży-



ciu. A kiedy już skończył mnie przeświecić, nie miałam żadnych pytań, bo uzyskałam odpowiedzi, zanim zadałam pytanie. Pod koniec wizyty zapytałam, czy może gwiazdy poradzą coś na moje bóle głowy i bezustanne napięcie czoła... „Tu nie w gwiazdach trzeba szukać, tylko w jodze – powiedział Bharath. – Przyjdź jutro i przez dwa kolejne dni. Zrobimy pudzę, żeby wprowadzić do twojego życia spokój i dobrobyt, pokażę ci też kilka asan, żeby pomóc twojej głowie”. Ucieszyłam się ogromnie, bo obiecał, że napięcie zniknie, i choć byłam sceptyczna, postanowiłam przyjść. „A ile to kosztuje?” – zapytałam. Bharath uśmiechnął się całym sobą i odpowiedział: „Nic. Masz dobrą karmę. Będę cię uczył. Nie zawieź mnie. Mam tylko kilkoro uczniów...”. I tak zostałam uczennicą kogoś, kto jest mi przyjacielem i Mistrzem zarazem. Mieliśmy się spotykać przez trzy kolejne dni. Odwiedzałam go przez trzy tygodnie. Po kilka godzin dziennie zmagając się z własnymi ograniczeniami, lękami, słabościami.

Asany, które mi zademonstrował, wydawały się czymś niezwykle trudnym, ale w chwili, kiedy zaczynałam ćwiczyć, wysiłek zniknął, pojawiała się duma, że ja też tak potrafię, i radość z wykonanego ćwiczenia. Bharath okazał się cudownym Nauczycielem. Poważnym, kiedy trzeba, dowcipnym w odpowiednim momencie, motywującym, kiedy ciało się buntowało i bolało tak, że ledwo wstawałam z łóżka, wynagradzającym za wysiłek i wytrwałość (ćwiczyłam dwa razy dziennie, a czasem nawet trzy, zakochałam się zupełnie w jodze, a ona we mnie, bo do dziś wzbogaca moje wnętrze nowymi cudami), troskliwym, bo kiedy dowiedział się, że nie mogę jeść w aśramie, jego żona gotowała mi obiady i karmiła mnie.

Przede wszystkim stał się moim przyjacielem, który zaprosił mnie do swojej rodziny. Spędziłam z nim, jego żoną i trójką dzieci (w wieku 8, 10 i 13 lat) magiczny czas. Po pierwszej wizycie w jego domu nie mogłam mówić. Wróci-

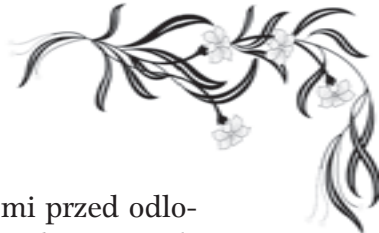


liśmy do biura na kolejne ćwiczenia i nauki. Zapytał mnie: – Jak rodzina? Podoba ci się? Które z dzieci spodobało ci się najbardziej? – A ja milczałam. Miałam ściśnięte gardło. Z oczu popłynęły mi łzy, połączone z pełnym wdzięczności uśmiechem... Dopiero po dłuższym czasie wyjaśniłam, że tyle miłości na raz nie dostałam w całym moim 30-letnim życiu i potrzebuję chwili, żeby się rozlokowała we mnie. Dzieci traktowały mnie jak starszą siostrę, a żona – jak przyjaciółkę. Dzieliliśmy się sobą i każde z nas czuło, że odnalazło kogoś ważnego dla siebie. Na wspólnych zabawach i rozmowach spędziliśmy ładnych kilka dni, a i noc się trafiła ciepła i wyjątkowa...

I kiedy pokochałam upały i kąpiele w zimnej wodzie cztery razy dziennie, kiedy ciało przestało boleć i okazało się niezwykle wdzięczne za włożony wysiłek, kiedy przestały mi przeszkadzać chodzące po mnie mrówki i wszechobecny dźwięk klaksonów samochodowych, kiedy polubiłam nawołujących sklepikarzy i zaczęłam wpadać do nich na pogawędki, kiedy zaczęłam doceniać to, co otrzymałam, przyszedł czas wylotu z Indii. To było najtrudniejsze pożegnanie w moim życiu...

Żegnano mnie ze łzami w oczach, z kwiatami i gorącymi uściskami. Scena filmowa, a wydarzyła się naprawdę... Nie chcieli mnie wypuścić, proponowali, żebym została dłużej, że kupią mi bilet powrotny, kiedy zechcę... I choć była to propozycja bardzo kusząca, wiedziałam, że muszę wrócić, poukładać się w sobie, zamknąć życiowe sprawy w kraju, praktykować to, czego się nauczyłam, żeby nie zawieść Nauczyciela i samej siebie. Do pewnych rzeczy potrzebna jest jedynie samotność. To kolejny test Boga: Czy wytrwasz? Jak silna jesteś, kiedy nie ma przy tobie kogoś, kto poda ci rękę, kiedy upadniesz?

Powrót do Polski był długi, męczący i smutny. Każda mila bliżej Warszawy to morze przelanych łez, których nie



mogłam powstrzymać. Bharath powiedział mi przed odlotem: „Wrócisz tu za dwa miesiące, pomyśl o pobycie w Polsce jak o wakacjach. Jedziesz tam odpocząć. Tu zebrałaś najpiękniejszy nektar, niech tam w tobie wzrasta, już niedługo się znowu zobaczymy”.

Po powrocie moje życie wywróciło się do góry nogami. Przez dwa miesiące przetoczyło się przeze mnie tornado i zabrało mi wszystko. Pusta wewnątrz i zewnątrz 24 kwietnia 2012 roku ponownie wylądowałam w Indiach. Tym razem na pięć miesięcy.

Ale zaraz, zaraz... Wróciłam do Indii nie bez przygód. Moje lekcje w boskiej szkole życia zaczęły się nie na żarty. Miałam poważne problemy z otrzymaniem wizy. Zależało mi na tym, by jak najszybciej wyjechać, a że dopiero co wróciłam, musiałam odczekać przepisowe dwa miesiące w Polsce. Odczekałam. Co do jednego dnia obliczyłam datę wyjazdu, kupiłam bilet, złożyłam podanie o wizę. Na trzy dni przez wylotem otrzymuję wiadomość: wizy nie ma, trzeba jechać do ambasady, wyjaśnić, dlaczego tak szybko chcę wrócić. Pojechałam, wyjaśniłam, urzędnik był nieugięty. Jego NIE dźwięczało mi w głowie nieznośnie. Odrzucił prośbę, odesłał z kwitkiem do domu, kazał złożyć inne podanie – że nauka jogi, że zwiedzanie, że duchowość... Na wszystko różne formularze. Wysłałam podłamana, ze łzami w oczach. Paszportu nie oddali... Dziwnie tak. Może jeszcze jest nadzieja? Znajomy agent z biura podróży pomógł. Zarezerwował mi nowy bilet, fikcyjny, żebym już nie straciła drugiego (a pierwszy przepadł, pieniądze bezzwrotne), poradził iść raz jeszcze, tym razem po odbiór paszportu. I poszłam. Zażądałam, kazali znowu czekać. Ale jak to? Przecież ja już niczego nie chcę, oddajcie mój dokument. Proszę czekać. Dlaczego? – Bo może jeszcze coś możemy dla pani zrobić – powiedział inny urzędnik, na innym piętrze, z przy-



jaznym nastawieniem. I czekałam. Cztery godziny. W końcu zawołano mnie piętro niżej, do tego samego urzędnika, który twardo odmawiał mi wyjazdu do Indii... Popatrzył na mnie. Zdziwił się, że to znowu ja. A dlaczego tak bardzo chcę wracać? Co tam będę robić? Już byłam mocno zrezygnowana. Popatrzyłam mu głęboko w oczy, zmówiłam polską modlitwę i powiedziałam w języku angielskim, rzecz jasna, że ja chcę się już tylko modlić. Szukam Boga, taka jest prawda, a w Indiach mam Nauczyciela, który obiecał pracować nade mną i otworzyć moje serce na Boga, bym już nigdy nie czuła się osamotniona, bym wierzyła, bym ufała. Usłyszałam: – Dobrze, dam pani wizę na pół roku, Lord Kryszna panią zbawił. – I jak nigdy nic zaczął ze mną przyjaźnie rozmawiać, podziwiać moją determinację i to, że biała, młoda kobieta chce poznać jego kulturę. Życzył powodzenia. Odesłał mnie na piętro wyżej, gdzie miałam odebrać paszport z wizą w środku. Poszłam, odebrałam.

Był piątek. Piękny, słoneczny piątek. I była nowina odbierająca mowę. Koleżanka zadzwoniła do mnie i poprosiła o numer mojego konta. Przełała mi pieniądze na nowy bilet, niech żyją marzenia! Straciłam trzy tysiące, zyskałam prawie tyle samo. Łzy wzruszenia były ogromne. Wydawać by się mogło, że cały Wszechświat jest przeciwko tej wyprawie, wiele osób mi ją odradzało, mówiło, bym przemyślała sprawę, że przecież tyle trudności, że to COŚ oznacza. Tak, dla mnie to oznaczało, że chcę, że zdania nie zmienię, że muszę tam być, bo chcę UWIERZYĆ, i muszę to zrobić właśnie TERAZ...

Nowy bilet kupiony, cudowne zrządzenie losu, były miejsca praktycznie z dnia na dzień. I tak jak miałam bilet w rękę, tak pochwalałam się swoją wizą agentowi, a ten mi mówi, że nie mam wizy. Jak to?! Przecież mi wbili. A wbili, ale nie podpisali! Myślałam, że zwymiotuję. Naprawdę



cała moja istota zrobiła się taka pusta, że gotowa byłam odlecieć gdzieś w przestrzeń i już nie wracać. Sobota, godzina 11.30. Nie było czasu na żadne wahania. Ambasada nieczynna, ale może ktoś tam jest, może pomoże. Coś się na pewno da zrobić. Z szaleństwem w oczach, pustym żołądkiem, paszportem i kupionym biletem pobiegłam przed siebie. Tramwaj, półgodzinna jazda na bezdechu, 15-minutowy bieg po ulicach Warszawy do ambasady Indii. Na portierni siedziała pani. Popatrzyła ze współczuciem, kiedy wyjaśniłam moją sytuację. Może do kogoś zadzwonić? Zawołać? Co robić? Bezradnie rozłożyła ręce. Dziś urząd pusty, nikogo tu nie ma. Przejechałam się po wszystkich piętrach. Pusto... Ze stresu i głodu prawie zasłabłam. Pani dała mi banana i szklankę wody. I kiedy tak mówiłam do Boga, że ja się chcę do Niego modlić właśnie w Indiach, że chcę Go poznać właśnie tam, windą zjechała hinduska rodzina. Pani strażnik mówi, żebym szybko z tym panem porozmawiała, że on tu pracuje, że może coś pomoże. Więc tym razem szarpanym angielskim wyjaśniam, wymachuję mu paszportem przed nosem, pokazuję puste miejsce, gdzie owszem, pieczętka się dumnie pręży, ale brak jej urzędniczego podpisu, na czym traci swój blask i ważność zarazem. Hindus na to, że on nie ma służby, że urząd zamknięty. Ale ja błagam, składam ręce w pozdrowieniu *namaste*, a moje oczy błyszczą jak nigdy dotąd pewnością, że JA CHCĘ TAM WRÓCIĆ. Hindus wyciąga telefon, mówi, że spróbuje zadzwonić po urzędnika, który może się tu podpisać. Połączenie trwa całą wieczność. W końcu odzywa się głos po drugiej stronie linii. Krótka rozmowa. Rozłączenie. Proszę czekać, ktoś przyjdzie. Mam ochotę paść mu do stóp, rodzina się cieszy, Hindus także.

Czekałam prawie godzinę w pustym urzędzie, z portierką. Opowiedziała mi o życiu swojej córki, która z mężem

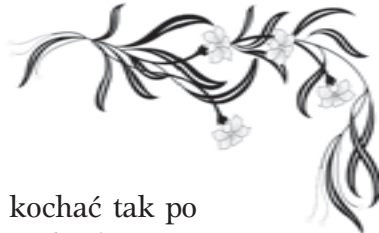


w Indiach była, że świat zwiedza, że taka odważna jak ja, że nigdy nie wiadomo, gdzie ją pogna i co wymyśli. W końcu w oddali widzę znajomą postać. To TEN SAM Hindus, który odmówił mi wizy... Kiedy mnie zobaczył, uśmiechał się od ucha do ucha jak nigdy nic! – O, to znowu pani?! – Pokazuję mu paszport i puste miejsce bez jego podpisu. – Och, to nie problem, już to naprawiam. – Podpisał, życzył miłego pobytu, bym znalazła to, czego szukam, i zniknął.

Nie wiem, co to za człowiek, ale wydaje mi się dziś postacią, która występowała w tej grze o wizę tylko dla mnie, może on tam już nie pracuje, a kiedy zacznę go szukać, dowiem się, że on wcale nie istniał i że coś mi się musiało pomylić. Jeden człowiek, a tyle lekcji mi udzielił! To jakby sam Bóg mówił, że droga do Niego jest trudna, kamienista i czy ja na pewno chcę po niej wędrować. Kiedy powiedziałam sakramentalne tak, ramiona się otworzyły, a w serce spłynął nieopisany spokój.

Do Ciebie

Dziś coraz bardziej czuję, że sami możemy napisać każdy kolejny dzień. Nie warto czekać, oddawać swojej władzy innym, tracić energii na coś, co nam nie służy. Sprawa może początkowo wcale nie jest taka prosta i oczywista, ale jeśli dać sobie szansę... Choćby taką najmniejszą, wtedy cały Wszechświat nieograniczonymi możliwościami pomaga, delikatnymi podmuchami pcha do przodu, zachęca, by iść dalej ku życiu bez lęku, odrzucając to, co niewygodne, bez żalu. Ale jest kilka zasad po drodze... Uwalniać, puszczać, zostawiać, ufać. Rakieta Twojego życia wie, jak ma lecieć, po prostu jej nie przeszkadzaj.



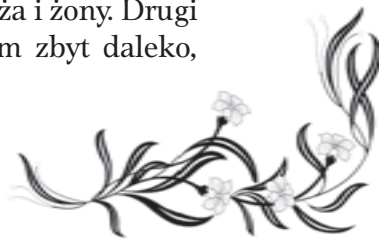
Cóż... Nikt nas tej sztuki nie uczył. Jak kochać tak po prostu samego siebie, żeby nie nazwano Cię gruboskórnym egoistą? Nikt nie mówił, jak widzieć w sobie cud. Nikt nie pokazał, jak piękni jesteśmy. I nie wiem, dlaczego tak jest, że sprawa najwyższej wagi stała się po drodze tak nieważna... I dlatego warto wyruszyć w tę największą podróż od siebie do siebie po siebie... I nieważne, ile czasu to zajmie. Dla siebie samego warto iść na koniec świata, nawet jeśli tam się okazuje, że to, czego się szuka, już się ma w sobie. Warto, byś wyruszył. Ty masz swoją drogę, ja swoją. Ty znajdziesz swoje ścieżki, których ja nawet z daleka nie widziałam, bo one są Tobie przeznaczone. Ale idź. Nawet jeśli mapy brak... Po drodze okaże się, że tak naprawdę jej nie potrzebujesz. Tylko wyrusz. Przed siebie. Do lasu. Do parku. Nad morze. Na plac zabaw. Idź tam, gdzie Ciebie jeszcze nie było, szukaj siebie w rzeczach, których jeszcze nie robiłeś, w sytuacjach, w których jeszcze nie znałeś. Poszerzaj siebie. Uwalniaj to, co już stare i przeszkadza w marszu. I możesz się bać. Pewnie. Sama nieraz łykałam powietrze strachu. Ale można się bać i iść... Początkowo to nie będzie proste. Stare ścieżki tak dobrze wydeptane przecież, umysł oswojony rozsiada się w swoim schematycznym królestwie i rządzi Tobą, mówi, kiedy spać i jeść, jak reagować, jak oddychać... Wchodząc na nową ścieżkę, trzeba wziąć porządną maczetę w dłoń i karczować puszcę myśli, które nie zgadzają się na przyjście nowego. Cierpliwie, dzień po dniu, wytrwale. Jednego dnia nie wytniesz, odrośnie stara myśl – one są silne jak mityczne wielogłowe smoki. I odkryjesz w sobie MOC, o jaką się nie podejrzewałeś, bo tuż przed upadkiem czujesz, że możesz jeszcze i jeszcze, i jeszcze... Aż końcu wyjdiesz na jasną polanę, otrzesz pot z czoła i... westchniesz z ulgą. A spoglądając w spokojną taflę jeziora, zachwycisz się... SOBĄ.

Straty i odzyski

Mówią, że musisz coś stracić, by to docenić. Tyle oczywistości było w moim życiu. Straciłam każdą jedną i dziś, kiedy jej już nie mam obok siebie, widzę, jakim była skarbem. To, co wydawało się zbędne, trudne, niechciane, raniące – dziś widzę jako cenną perłę w sercu.

Miałam dom. Ojca, matkę, dwa psy, własny pokój. Wiodłam życie pozornie szczęśliwego dziecka. Mało obowiązków, tylko nauka, świat zabawek i ja, wakacje u dziadków. Pojawiły się kłótnie, zakazy, nakazy, niesprawiedliwości, żale, oczekiwania. Takie nudne, normalne życie stało się bardzo uciążliwe. Nawet pies okazujący współczucie płaczącemu dziecku wydawał się przeszkodą. Koniec wakacji. Smutek, kiedy trzeba było opuścić dziadków i wrócić do rodziców, przyklejał się do ust na pozostałą część roku. Nauka, świadectwa z paskiem, takie oczywiste i nudne. Ciągle czegoś było za mało...

Straciłam rodziców siedzących przy jednym stole. Dziś doceniam każdy wspólnie zjedzony posiłek, świetne ciasta mojej mamy i smaczne obiady ojca. Leniwe słodkie niedziele już nie powrócą w takim wydaniu. Straciłam dwa psy wiernie towarzyszące codziennemu życiu ojca, matki i córki. Jeden odszedł wraz z rozwodem męża i żony. Drugi schorowany zasnął na zawsze, kiedy byłam zbyt daleko,



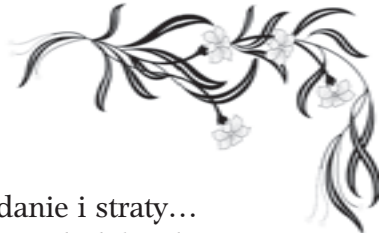


by powiedzieć „żegnaj” i podziękować za każdą chwilę spędzoną wspólnie. Dziś doceniam, jakim niezwykłym był przyjacielem. Tylko jemu można było tak zaufać i tylko on idealnie wyczuwał moje nastroje.

Straciłam własny pokój. Niby nic. Dla kogoś, kto ledwo wystawał głową nad stołu, takie to było wtedy oczywiste, że on jest. W rzędach poustawiane nieme misie, które za sprawą dziecięcej wiary ożywały nocą i czuwały nad snem ich właścicielki. Cztery kąty nieraz wydawały się więzieniem, w którym za karę trzeba było siedzieć, kiedy poza nimi toczyło się ciekawsze życie dorosłych. Dziś doceniam tę własną przestrzeń, w której kiełkowały pierwsze marzenia, a szczerze łzy mogły płynąć niczym nieskrępowane.

Miałam męża, wspólne życie, plany, samochód i wynajęte mieszkanie. Och, jak nudno mi było! Każdy zwykły spacer brzegiem morza był zbyt nudny, nazbyt zwykły dla kobiety z głową w chmurach. Życie młodej żony, która chce mieć ekscytujące przygody i nieprzewidywalne prezenty, było na wskroś nudne... W codzienności przemknęły mi przed oczami szczęśliwe chwile, radość ze wspólnie wypitej kawy czy wyjście do kina. To było takie oczywiste.

Straciłam męża. Na własne życzenie zamknęłam za sobą drzwi, pozostawiając go za nimi wraz z samochodem, wspólnym życiem, w wynajętym mieszkaniu, z planami, których już ze mną nie zrealizuje. Uciekłam, myśląc, że tuż za rogiem jest lepsze, wolne, bardziej ekscytujące. Dziś doceniam rutynę, która tak naprawdę nią nie była, tylko ja miałam zamknięte oczy na magię codzienności. Najmniejszy drobiazg dziś widzę bardzo wyraźnie. Wspomnienia zalewają mnie dobrymi obrazami. Tu, w Indiach, powódź wspomnień. Straciłam zwykłe. Doceniam to, co było niezwykłe. Każda łza niezadowolenia i pozornej niesprawiedliwości odeszła bezpowrotnie, przysłaniając mi



to, co ważne. Niebezpieczna to gra w posiadanie i straty... Bóg ma wielkie uszy i wyostrzony słuch. Spełnił każdą jedną prośbę dziecka – nastolatki – kobiety. Dał coś komuś zupełnie nieodpowiedzialnemu, więc zabrał wszystkie zabawki, by dłużej się dobro nie marnowało. Zerka teraz niewzruszonym okiem na dziecko – nastolatkę – kobietę, która za późno coś zrozumiała. A może właśnie to jest ten odpowiedni moment... Widzi ją, jak się miota, jak dopiero teraz docenia to, co było dookoła „zbyt oczywiste”, by okazać za to wdzięczność. Słyszy jej płacz i modlitwy. Słyszy obietnice, że już więcej tego nie robi, niech tylko odda jej to, co odeszło. Próżne łyzy, przecież dobrze wie, że straty zamknięte są w worku i nie ma takiej siły, która go otworzy i poukłada wszystkie klocki po staremu. Te puzzle już nie będą do siebie pasowały. Tak naprawdę przecież tego nie chce... I mówi Bóg: – Daję ci teraz puste, białe, nienaruszone. Daję ci twoje ręce, twój umysł, twoje serce, twoją nadzieję. Daję ci narzędzia do tworzenia nowego, które już w chwili kreacji docenisz, nie stracisz, nie zapomnisz.

Dziecko – nastolatka – kobieta patrzy wystraszona w górę, nie dowierzając samej sobie. Boi się, że znowu zawiedzie: dostanie – straci – doceni po fakcie. Bierze głęboki oddech i już wie, że to tylko od niej zależy, co robi z każdym nowym darem. Obiecuje sobie, że tym razem podoła. Przestaje się mazać, ociera łyzy, prosi o wybaczenie dziecko – nastolatkę – kobietę i tych, którzy na każdym z etapów jej życia grali jakąś ważną rolę. I kiedy dziś patrzy na gruzy przeszłości, niczego nie żałuje. Czasem trzeba coś wyburzyć, doszczętnie zniszczyć, by powstać z popiołów.

Jestem tu, gdzie mam być, na swoim miejscu, z tymi, z którymi mi po drodze. I choć czasem zdarza mi się przysnąć, stracić czujność, to zawsze znajdzie się ktoś, kto obudzi i powie: proszę pani, proszę nie spać, przegapi pani



swoje życie. Bharath jest w tym nieoceniony. Jego słowa zawsze przychodzą w odpowiednim momencie i dopasowują się do mojego nastroju, choć bywa, że nic mu nie mówię. Czasem powie kilka zdań w ciągu dnia, ale to jest dokładnie ten dobór słów, który robi ogromną różnicę i zmienia wszystko. Kiedy mi samotnie, słyszę:

– Samotność przychodzi, kiedy zapominasz, że Bóg jest twoim nadrzędnym towarzyszem.

Kiedy zaczynam narzekać, pojawiają się zdania: – By smakować słodycz życia, musisz mieć w sobie moc, by pozwolić przeszłości odejść. Jeśli uczynisz ten moment szczęśliwym, podnosisz swoje szanse na to, że następny moment będzie także szczęśliwy. Jeśli chcesz zapomnieć o swoich problemach, pamiętaj o Bogu...

Na dziś nie mam już więcej pytań...

Do Ciebie

Bo w życiu bywa różnie... – takie normalne stwierdzenie, oczywiste. A jednak... Bo ktoś po 25 latach życia z kimś może stwierdzić, że jednak chce z tym kimś się zestarzeć, zamiast rozstawać, choć bywało trudno. Bo można nie mieć ochoty robić nic, nawet jeśli coś, co się na co dzień robi, daje kopa. Bo można nie chcieć słuchać muzyki, choć ta przynosi ukojenie. Bo można spać do południa i nie mieć chęci wstać, nawet jeśli słońce za oknem. Bo można zjeść tabletkę przeciwbólową, choć się ich unika. Bo można zamknąć wszystkie drzwi i okna, zostać w mieszkaniu, wyłączyć telefon, nie włączać komputera i być ze sobą, w sobie. Bo można porzucić na chwilę chęć bycia samowystarczalnym i mieć zwykłą, ludzką potrzebę przytulenia się do kogoś, poczucia, że ktoś jest, kocha, wspiera, poda



szklankę wody do tej tabletki przeciwbólowej, której się tak unika. Bo można czuć rezygnację, nawet jeśli odniosło się wczoraj sukces. Bo można poczuć zniechęcenie, spadek formy, zawieszenie, zamiast na siłę się nakręcać i afirmować, i programować, i panikować, kiedy dopada stan inny niż zachwyty nad niebem.

Bo w życiu bywa różnie. Właśnie tak. I właśnie dlatego wszystko, co się w nim pojawia, warto przyjąć, pochylić się nad tym, pobyc, zamiast na starcie odrzucać, bo jak coś niewygodnie gniecie, to najlepiej wyrzucić i cześć. Gdyby nie ból głowy, nie doceniałbyś, jak to bosko jest go nie mieć. Gdyby nie samotność i chwilowe poczucie osamotnienia, nie doceniałbyś, jak to jest czuć czyjeś ramiona otulające Twoje ciało, głaszczące po głowie, całujące oczy, nie doceniałbyś tych chwil odurzającego połączenia ze wszystkim, co istnieje. Gdyby nie kilkudniowy post o samej wodzie, nie doceniłbyś smaku choćby najprostszego obiadu. Gdyby nie kilka dni w zamknięciu i odcięciu od ludzi, nie doceniłbyś, jak to jest dzielić się sobą z innymi, patrzeć im w oczy, czuć siebie w nich. Gdyby nie zawieszenie wszelkiej aktywności, jak miałbyś docenić leśne marsze, życiodajną jogę, spacer w strugach deszczu, jazdę pod górkę na rowerze? Gdyby nie odłożenie na chwilę tego, co kochasz, jak miałbyś poczuć, że bardzo tęsknisz...?

I właśnie dlatego, że w życiu bywa różnie, pozwól sobie być tak, jak chcesz być. Nie odtrącaj tego, co boli i jest niewygodne. To minie, a Ty wyjdiesz mocniejszy i jaśniejszy niż dotychczas, a każdy jeden smak będzie pieścił Twoją duszę. Bo tak to już jest w życiu. Różnie w nim bywa. Lekarstwa gotowego na nie brak i w tym cała magia...

Matka wydała na świat dziecko. Mówią: oto narodził się nowy człowiek. Gdzieś na świecie zmarł człowiek. Czy aby



na pewno zmarł? A może właśnie się narodził? Wszak noworodek jedynie z nazwy jest człowiekiem. W rzeczywistości zaś jest formą, w którą się jego człowieczeństwo zacznie wlewać. Rok po roku przybędzie mu więcej ludzkich cech. Urośnie, nabierze masy, kształty nadadzą mu człowieczego wyglądu. Pójdzie do szkoły, gdzie nakładą mu do głowy niezwykle ważnej ludzkiej wiedzy, którą po kolejnych dziesięciu latach odrzuci ze wstrętem, bo teorie nie podniosą jego życiowego doświadczenia człowieczego.

I zacznie się człowiek zastanawiać, co się na niego składa, co czyni go tym, kim jest, i dlaczego czasem czuje się wesoły, a czasem smutny, i że w żadnej szkole tego nie wykładano. Więc jeśli dotarł już do tego punktu, zapragnie czuć tyle, ile zdoła, by swą człowieczą formę wypełnić tym, czego nie ma w księgach, a co jedynie w ludzkich krokach i czynach może być utrwalone. Będą mijały kolejne lata, na świecie pojawią się nowe dzieci, a stare umrą. I ten, który narodził się lata temu, a stojąc już bliżej śmierci niż życia, nadal nie będzie gotów, by odejść. Wszak życie się w niego wlewa, nie zaś uchodzi...

Jeszcze tyle do zobaczenia, poczucia, posmakowania. Czy to już wszystko? Czy już jesteś człowiekiem? I co to tak naprawdę znaczy nim być? Kim jestem? Dokąd zmierzam? Pytania nie pozwolą mu spocząć w bezpiecznym i ciepłym gniazdku, do którego wszakże inne człowiecze jednostki dążą, a kiedy osiadą, bagno komfortu poczyna ich wciągać, ruchome piaski przysłaniają oczy, ograniczają ruch. Dumnie prężą w tym grobie złudy swe ludzkie klatki, wszak tak się napracowali i zasłużyli, że czas już spocząć... Już mają wszystko. Już osiągnęli wszystko...

Ale czy człowiek w swym stawaniu się ludzką istotą może kiedykolwiek mówić o emeryturze? Ten, który narodził się lata temu, niebawem ma umrzeć... Zebrali się bli-



scy i przyjaciele u jego łoża i zapłakali. A on się dziwował, dlaczego to nad nim płaczą. Przecież on wraz z ostatnim wydechem w końcu się narodzi! I stanie się człowiekiem! I dopełni się jego forma! Czyż to nie wspaniała chwila? Do tego potrzebny jest jednak ten ostatni wydech, bez niego transformacja, która trwała od pierwszego wdechu i krzyku, się nie domknie. Więc odezwał się do zebranych: – Nie płaczcie nade mną. Świętujcie, oto jesteście świadkami mej człowieczej pełni. Nie trwońcie cennych łez na mnie, zachowajcie je na wasze stawanie się. Ono przysporzy wam jeszcze nieraz słoności twórczej... Moja ludzka forma wypełniła się tym, czym zdołałem ją nakarmić. Z niejednego talerza jadłem, w niejednym łożu spałem, niejedną kobietę me ciało ogrzewało, z niejednym się wadziłem, wielu kochałem. Nie zmarnowałem żadnej minuty. A chwile samotności i ciszy ową samotnością i ciszą wypełniłem. Więc nie traćcie czasu na trwanie w ułudzie komfortu. Jest dużo więcej poza nią. Wypełniajcie się po brzegi, a kiedy już prawie się przelewać zacznie, odkryjecie, że wasza forma nie zna granic...

A kiedy wyrzekł ostatnie słowo, ono stało się dopełnieniem jego człowieczeństwa.

Oto narodził się człowiek.



STUDIO
ASTROPSYCHOLOGII
www.studioastro.pl

„Rozmowy z hinduskim mistrzem” to zapis mojej podróży duchowej do Indii. Spędziłam tam większą część 2012 roku. Odnalazłam tam bramina, astrologa, nauczyciela jogi, medytacji oraz przyjaciela, który z ogromną uważnością i cierpliwością wprowadzał mnie w tajniki kultury i tradycji hinduskiej. W książce dzielę się doświadczeniami, zmaganiem, radościami i opowieściami, które przekazał mi mój mistrz.

– Agnieszka Kawula

Ty również możesz dowiedzieć się, jaką życiową prawdę ma do przekazania hinduski nauczyciel. Dzięki niemu zdołasz wsłuchać się w siebie i poznać swoje prawdziwe potrzeby oraz pragnienia. Podobnie jak Autorka, wynurysz się z morza codziennych frustracji i odnajdziesz spokój dotychczas zarezerwowany dla duchowych mistrzów. Poznasz również korzyści, jakie niesie naturalne oczyszczanie organizmu oraz inne techniki doskonalenia zaczerpnięte z indyjskiej kultury. Książka wskazuje kierunek rozwoju osobistego.

Czas na Twoją duchową metamorfozę!

Patroni:



**ŚWIAT
NA DŁONI**



Cena: 34,30 zł

ISBN 978-83-7377-628-9



9 788373 776289